

Poznań 05.11.20

„Świebodzin 78 lat później”

Przez małą wioskę pod Tarnowem przepływa rzeka Biała – wartka, szeroka, wijąca się jak turkusowa wstęga, która towarzyszy Świebodzinowi od lat. Czasami zalewa wioskę, ale zazwyczaj jest łaskawa dając latem schronienie przed upałem, oferując malowniczy krajobraz i spokojną kryjówkę pod mostem nad nią biegnącym. Bo kiedy przejdzie się most, przez który biegnie droga, zsunie po barierce, zeskoczy po kamiennym wale trzymającym most, przeczołga przez pokrzywy i zeskoczy z przęsła, trafia się na swego rodzaju półkę w połowie wysokości od mostu do koryta, w którym wartko wiję się rzeka Biała. Z obu stron otaczają tę półkę gęste ściany pokrzyw i innego zielska, czuć za plecami betonowe przęsło mostu, nad głową szeroka (jak na wioskę) droga rozciągnięta od brzegu skarpy do brzegu drugiej skarpy. Przede mną rozciąga się w dole wartka masa wody płynąca naprawdę prędko, tocząca za sobą kamienie, zabierająca różne napotkane skarby i nawet, nawet czysta – bo nie tak dawno wypłynęła z gór.

O szóstej rano, w letni dzień to miejsce ma w sobie aurę, która osobę o najbardziej przytępionych zmysłach, dotknęłaby z większą hojnością niż można to sobie wyobrazić. W dole lawina wody szumi i szeleści, nie pozwala ani na moment zapomnieć, że tam jest. Ptaki poranne na drzewach kurczowo trzymających się skarpy wołają, błagają, żeby słońce rozwieszało już poranny swój szal, ruszał dzień w długi marsz, nawołuje ptaków rzesza – witaj! Czuć, że dzień będzie upalny, ale po nocy pozostała jeszcze mgielka łagodnie osiadająca na włosach i rzęsach, chłodzi na zaś – jest po prostu rześko. Co piętnaście minut przejeżdża nad głową samochód jakiegoś biedaka, udającego się już z samego rana do Tarnowa, do pracy. Wtedy koła dudnią przez chwilę tuż tuż blisko, a później znów przyroda przejmuje antenę i szumi, świergocze, daje o sobie znać jak umie.

Siedzę z nogami zwieszonymi nad przepaścią, lichą bo lichą, ale paręnaście metrów w dół jest. Jeszcze przecieram chusteczką ręce poranione o kamienne umocowanie, pod którym trzeba się precyzyjnie przycisnąć. Nie wiadomo czy zamknąć oczy czy może nie. Kiedy je zamykam tracę widok na gęste kłęby zieleni czerwcowej, pieniające się na bokach, w dole, pod moimi stopami w przemoczonych od porannej rosy adidasach, okalające rzekę soczyste ramy. Ale kiedy je zamykam, rzeka jakby była bliżej mnie, szmerze niby tam w dole i trochę mi na ucho. Hymn poranny z pól, przytacza się na skrzydłach, gdzieś daleko ryczy krowa. Szumią mi na ucho drzewa, słyszeć czy widzieć? Trudna decyzja. Piękno poranka zdecydowanie najlepiej czuć pod mostem, który już do mnie nie należy, ale w pamięci jest wciąż żywy.

Nie trzeba iść daleko żeby znaleźć się na poziome rzeki Białej, choć zdaje się wic tam, gdzieś w dole – hen, hen. Nie trzeba iść daleko, choć nie jest to łatwe zadanie. Podjechaliśmy do rzeki Białej rowerami, było blisko, ale rowery się zabiera na pikniki, więc zabraliśmy. Przejechaliśmy właśnie ten wielki most i skręciliśmy za nim w prawo. Zielen znowu kipiała, ale cóż dziwnego, skoro jest czerwiec. Niebo było bezchmurne, jak zresztą cały czerwiec, świerszcze cykały w gęstych trawach i owady brzęczały w kwiatkach przy drodze. Lato w Świebodzinie...

Mój Boże, zakochałam się w chłopcu, ale tak samo piękny jak on, jest jego Świebodzin. Drogi wijące się raz w górę, to znów w dół, słońce znikające w złotym zbożu. Kwiaty polne wplatane we włosy (i siano wplatane we włosy, kiedy się kładzie tam gdzie nie powinno i wstaje z szopą na głowie) i soczyste lasy ze strumyczkami szemrzącymi gdzieś w pokrzywach. Długie spacerunki pod drzewami owocowymi i wieczorne oglądanie gwiazd, bo najbliższe duże światła dopiero w Tarnowie, więc tutaj widać wszystko. Nigdy przedtem nie leżałam z głową na piersi, w której serce biło w tym samym rytmie co moje, na środku drogi polnej, w środku nocy, planując, że w przy naszym wspólnym domu będzie musiał być taki kurnik, na który można wejść i podziwiać nocny spektakl. Potem oświetliły nas reflektory samochodu i musiałeś mnie poderwać z ziemi i wrzucić w zboże żeby nas nie rozjechano, ale i to było w smak lata. Wycieczki na najwyższą górkę w okolicy z której widać jak na dłoni chyba cały świat, a w nocy światła Tarnowa. Pierwsze nielegalne prowadzenie samochodu po wąskich, wiejskich asfaltówkach i okrzyki „Ale nie puszczaj teraz sprzęgła!”. Wakacje nastolatki na wsi, to chyba najpiękniejsze wakacje jakie ma się w całym życiu.

Więc żeby podtrzymać tą tezę piknikową, jechaliśmy dalej rowerami, z kocykiem i prowiantem w koszyczku szukając zejścia nad Białą. Ale po naszej prawej stronie wciąż i wciąż ciągnęły się tylko gęsto nastawiane drzewka poprzeplatane krzaczorami i trawami. Pełen przegląd zielnika. W końcu stwierdziliśmy, że inaczej się nie dostaniemy jak „na szagę”, więc wbiliśmy się w zielone kłębuchy z naszymi rowerami i koszykiem. Rowery utonęły w gęstwinie po drodze, a my przebijaliśmy się dalej. Nie zajęło to długo, chociaż nogi były podrapane. Letnia sukienka może nie jest najodpowiedniejszym strojem na czołganie przez krzaki, ale cóż, podróżnika nie określa jego strój. Dotarliśmy do kamienistego brzegu przy rzece. Po drugiej stronie była wysoka skarpa, z której wylatywały i w którą wlatywały jaskółki. Nigdy nie widziałam tylu jaskółek naraz. Mówi się że jedna jaskółka wiosny nie czyni, ale tam było tyle jaskółek, że bez problemu mogłyby uczynić wiosnę. Słychać było ich nieustanny świergot, wartki potok szumiał tuż obok nas i tam pod gruszą postanowiliśmy

rozłożyć czerwony koc w kratkę. Słońce czerwcowe przebijało się przez listki drzewa owocowego zostawiając na naszych włosach i skórze całą mozaikę czerwcowych barw i odczuć. W trawie buczało i kotłowało się aż od owadów, a świerszcze dokładały swoje partie do letniej uwertury. Do dziś tak pamiętam te dźwięki, że są dla mnie one wyznacznikiem prawdziwego lata. Leżeliśmy obok siebie, niewidoczni dla nikogo, z jednej strony wielometrowa skarpa, z drugiej gęsta roślinność. Rzeka, kamienny brzeg i jaskółki, były tylko nasze.

A za tymi drzewami wyżej, nad naszymi głowami, równoległe z Białą biegły tory. Na jednym końcu tych torów był Tarnów. I wtedy mi powiedziałaś, że 78 lat temu przejechał tędy pierwszy transport do Auschwitz, który wyruszył właśnie z Tarnowa. Z tamtego, bliskiego nam końca torów.

Tymi torami, 78 lat temu przetoczył się nad moją głową szereg bydlęcych wagonów z podduszonymi od skwaru czerwcowego ludźmi. Z podduszonymi niemowlętami, płaczącymi za dziećmi matkami, ciałami podeptanymi przez dziesiątki ludzi na paru metrach kwadratowych, płaczącymi za matką dziećmi. Z rzeczami które widziała niejedna matka i niejedno dziecko, a mi dzięki szczęściu i dobremu czasowi, nie było dane widzieć. Przetoczył się tędy powoli pociąg na zatracenie, historyczna pierwsza kosteczka domina, która pociągnęła za sobą jeszcze tysiące tysięcy takich pociągów. To był ten mityczny pociąg, który przetaił drogę do wielomiesięcznego piekła, zgładził całe rody i rozdarł rodziny. Ten pociąg był gorszy od innych, bo sprawił, że te kolejne były każdy kolejny, bardziej normalny dla wszystkich. Ta zapalka, która jako pierwsza odpala lont do sterty dynamitu. Miliony duszących się od czerwcowego skwaru, jadących na pewną śmierć. Świat ma tak wiele lat, że prawie każde miejsce może nosić na sobie piętno cierpienia ludzkiego, ale czy przez to że znalazłam się tam tylko chwilę później, nawet niecałe sto lat, mam prawo być najszczęśliwsza na świecie, w miejscu gdzie zaledwie 78 lat temu krzyczano „Wasser! Luft!” jako jedne z ostatnich słów w życiu?

W tym miejscu, teraz powiewy lekkiego wiatru lekko szumiące w wysokich trawach i owady brzęczące radośnie, zagłuszają stukot kół oddalającego się pociągu.